



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidtów kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

JÓZEF BOHDAN ZALESKI.

Dnia 31 Marca rano umarł we francuzkiej wiosce pod Paryżem najśladzszy, najtkliwszy z li-ryków naszych, ostatni z poetów okresu Mickiewiczza. Józef Bohdan Zaleski, urodzony 1802 roku na Ukrainie, w Kijowskim, więc już tam, gdzie zawiewał wiatr stepowy, niosąc z wonią ziół dzikich dumy i skazki, które wykołysały młodego ducha tą rodzimą rodzinnych stron jego poezją, stanowiącą do końca życia oryginalną i w poezyi naszej jemu tylko właściwą nutę. Matkę stracił nie przy urodzeniu, jak się to stało legendą, ale w niemowlęctwie, jak poświadczają własne jego słowa w liście, pisanym do bratanka, Cezarego Jasieńskiego, w 1878 r. z Villepreux. Jest podanie, że dla wątłego zdrowia dziecko zostało oddane na wychowanie pasiecznikowi, aby na łonie natury, wśród balsamicznych ziół miododajnych krzepiło się na siłach — i kto wie, jak te pierwsze obrazy, które uderzały młodą wyobraźnię, oddziaływały na późniejszą twórczość poety, jaki ślad zostawiły po sobie w zamięłowaniach, które obudziły się w dziecku przez bezpośrednie zetknięcie się jego z naturą! Zamknięte w pokoju, pieszczone, nianieczone troskliwie, nie miałyby uniesionych w wyobraźni wspomnień, jak „księżyc czerwono wschodzi na stepie“, jak „ciągną sznurem żurawie“. Pamięta też tę piastunkę swą pierwszą starzec siwy; z nad brzegów Sekwany gdy zapach sianozęci wrusza mu serca wspomnieniem, każe on wiatrowi, aby nim usta jego, „umilkną raz po płaczu“ zawrócił „z dumką po tułaczu na rodzinną wieś...“

Po nad Bohem, do Berszady,
Pozdrów sady i liwady,
I o kilka staj,
Zofijówkę tam — i Human,
Gdziem na puchu rannych dumań
Podlatywał w raj!
Ponad Rosią i Rosawą,
Poczcij wszystko — nutę łzawą
Zanieś jako dań
Mogił, mogił tam bez liku!
Toż na wielkim mogilniku
Wietrze, Dumą wstań!
Dumo-dumko, żywa wodo!
Cudotworna... Temu młodo,
Kto pił z ciebie raz.
Rozśpiewany on i świeży
Nie starzeje, chociaż snieży
Broda, długa w pas...

Odczuwał więc świadomie do ostatnich chwil życia wpływ „rannych dumań“ wśród sadów i liwadów Ukrainy, gdzie został napojony „mlekiem dum i mleczem kwiecia“, jakkolwiek opuścić musiał wkrótce miejsca rodzinne. Ojciec przeniósł się na Litwę i tam już, ale także nie w ojcowskim domu, chowała się sierota. W wyżej przytoczonym liście do Cezarego Jasieńskiego pisze, że do dziewiątego roku było to w Medwedówce u ciotki Apolonii Kundziewiczowej, a następnie dwa lata i kilka miesięcy przebywał u drugiej ciotki, Anny Jasieńskiej w Małych Jerzykach. Zadziwiająco smutną rzeczą jest, że nigdzie we wspomnieniach poety nie występuje postać ojca, nawet nie spotyka się tam z jakimkolwiek wybitniejszym słowem, któreby coś o uczuciu synowskiem dla niego wnosić pozwoliło. Syn potraça tylko o niego we wspomnianym liście, określając czas swój przebywania

u ciotek: „po osiedleniu się ojca na Litwie.“ O matce, której pamiętać nie mógł, wspomina w poezjach swoich kilkakrotnie i tklawie, miłośnie — tak, jakgdyby obcował zawsze z jej duchem, do którego zwraca się i przemawia synowskim głosem. W wierszu „Dzień gromniczny“ napisanym na urodziny swoje, bo przybył na świat w samo święto Matki Bożkiej Gromnicznej, jakoby jej donosi, co robi na świecie ziemskim:

„Syn twój, o matko! ledwo przeżegnany,
Twe pogrzebowe, gromniczne dzieciątko,
Piastuje lutnię między chrześciany“...

W „Przenajświętszej Rodzinie“, wraca wspomnienie tej nieznanej a ukochanej matki, połączone z uwielbieniem jej czystego ducha, który uważa za pośrednika swego przed Bogiem, sprawującego mu łaskę. W wierszu „Na wiatr“, żaląc się smutno na to, co potracił w życiu, nie ma nic o ojcu, i pisze tylko:

„Brat i siostra — wszyscy mili,
Co kochali, co tulili,
Śpią w mogiłach już...“

Niewymownie też ścisnęło się serce, gdy z wyrazów żywego żalu, w których wracający z Paryża do kraju Andriolli, opisywał ostatnie chwile poety, można było wywnioskować, że jak dzieciństwo miał opuszczone, pozbawione najpierwszej naturalnej opieki, tak starość była podobnie osamotnioną. Gdy po opisie ubogiej sypialni, w której zmęczone oczy zamykał, czytało się wyrazy, dziękujące Bogu za tę śmierć, bo gdyby życie przedłużyło się jeszcze o miesiąc jeden, to *Słownik Ukrainy* byłby musiał schronić się pod dach domu miłosierdzia, gdyż inaczej „nie miałby może co jeść“ — Izy emily wzrok najtwardszych, najmocniej na widok nędz ludzkiego losu zahar-

townych ludzi. Ale Bogu dzięki nadeszłe wkrótce z Paryża listy łagodniej malują położenie.

Dom, w wiosce Villepreux, o dwie mile od Paryża odległej, nie tyle jest ubogi, ile prosty, urządzony wedle wspomnień i nawyków poety, z możliwymi przeniesionym kolorytem naszych dawnych dworów szlacheckich, otoczony jak one zielonością. Nie było w nim bogactwa, ale nie było i biedy, a głównie znajdowało się tam ułoża ojcowskiego, obok syna przyjaciela, Władysława Mickiewicza, trzech synów: były zatem obok sędziwej niemocy siły młode — dzieci, których obowiązkiem jest pielegnować starość rodzicielską. Strapiony ciężką dla jego serca stratą zięcia, Okińczycza, z którym się nie rozstawał, choć śmierć córki, po której tylko została starcowa wnuczka, zerwała niejako łączący ich węzeł — liczący przytem lat 85, zachorował poeta na tę chorobę już nie uleczonej, chorobę śmierci, która — jak często bywa w takich razach — przybrała formę zapalenia płuc. Andriolli, który był w Villepreux w wilią śmierci, powiada, że cierpiał ciężko, konał długo; ale list z Paryża, podany przez *Gazetę Warszawską* dodaje, że przytomnym pozostał do ostatniego momentu. Wiedział, że umiera, spowiadał się i ostatni wiatyk na drogę śmierci przyjął z rąk kapłana Polaka — księdza Witkowskiego, misjonarza apostolskiego, i zgon przyszedł spokojnie, łagodnie. Andriolli zdjął w wilią śmierci szkic oblicza poety: głowa spoczywa na śmiertelnych poduszkach, długa siwa broda spływa na piersi, całość pełna najwyższego spokoju i powagi — pełna piękności czystego, szlachetnego ducha, przejawionego w sędziowych rysach męskiej twarzy. *Biesiada Literacka* dała drzeworyt z tego rysunku z podpisem: „Ostatnie chwile.”

Andriolli odchodząc od łoża konania, ułamał gałąź bluszczu, ocieniającego ścianę domku w Villepreux, przy której zmarły lubił siadywać, myśląc może o dalekich stronach rodzinnych i tym brzegu wiślanym, na który wybiegał z murów Warszawy, aby w pierś, której duszno było wśród ulic miejskich, zachwycić coś powietrza, lecącego z pól i lasów. Gałąź ta, wyrosła na ziemi francuskiej, została zasadzona przez Andriollego w wieskiej jego posiadłości, a dąb ukraiński ocenił mogiłę poety na którą nasypią ziemi ze stepowego kurhanu, zasadzą stepową dziewanną i burzanem. Niech mu szumią tym szmerem harmonijnym, który kołysał kiedyś młodego ducha do pierwszych jego dum-dumek!

A trzeba-by tam jeszcze białej brzozy z lasów Jerczykowskich, bo i tam uderzało już gorąco serce poety. Ciotka, która przygarnęła w dom swój chłopca sierotę, musiała być osobistością niepospolicie znaczną, wyższego serca i umysłu. Wdowa, mająca obok syna swego kilkoro sierot krewnych, uczących się razem pod kierunkiem nauczyciela, ex jezuitę Biernackiego, zabrała sierotę po siostrze od siostry drugiej, aby chłopiec mógł się też uczyć razem. Przebywał tu do 13 roku swego życia, „ucząc się trochę z dziećmi, a dużo pustując i marząc” — jak pisze w swym liście do Jasińskiego. A jakie to były lata, które tam przeżył — rok 1811 i 1812 — rok straszliwej komety i straszliwej wojny! Pamiętał jeszcze w r. 1878 w Villepreux, gdy ów list do bratanka pisał, rozprawy ówczesne szlachty i ludu, pamiętał jak ciotka padała na kolana przed krucyfiksem, jak śpiewała godzinki do Matki Boskiej, „od roziskrzenia się jutrzeńki na niebie.” Pod wpływem wielkich wypadków chłopak, pełen uczucia, szybko dojrzywał, ale właśnie przez to uczucie, złączone z poetyczną już wyobraźnią, burzyło się w nim coś ustawicznie i objawiało się wybrykami, przez które sprawiał „mnóztwo zgryzot i niepokojów ukochanej ciotce.”

— „Przytoczę jeno dwa charakterystyczne przykłady *pro memoria* dla wnuka” — pisze w dalszym ciągu listu. Raz zachciało mu się latać. Przez wiele dni przyrządzał sobie skrycie skrzydła z deseczek drewnianych i piór, aż Ikar biedny, chciał na nich nakoniec wzlecieć z dachu, lecz niestety! spadł na ziemię, prawie pod nogi ciotki; szczęściem, że na piasek i z łaski losu bez żadnego uszkodzenia. Raz w inny nieco, ale nie-

mniej hazardowy sposób, chciał rozwinąć skrzydła do innego lotu wyż. Uciekł jednej nocy z domu; mając w kieszeni garść miedziaków i karabinek jakiś lichy chciał się przedostać do wojska, kwaterującego w okolicy Różyna, w którą też stronę się kierował. Uszedł już trzy mile, przenocował w zbożu, aż spotkał go ktoś znajomy, poznał, wybadał i odwiózł zbiega do domu. „Ciotka przechorowała obydwie te wybryki synowca, a było i późniejszych lotrostw bez liku”.

Za to wdzięczny chłopak „kochał, uwielbiał” ciotkę, był posłuszny każdemu jej skinieniu, modlił się z nią i śpiewał owe godzinki „od roziskrzenia się jutrzeńki” i dodaje, że jej jest winien zaszczerpiecie mu w sercu tej religijności, która nie opuściła go aż do śmierci. Ciotka również zaszczerpiła mu w sercu drugą religią — która stała się integralną częścią jego istoty.

Wspomnienia z tych lat młodzieńczych mogłyby być złożone na pamiątnik, i jak zajmujący jeszcze, bo poeta pisze, że był wtajemniczony we wszystko, co się wtedy działo w domu, „w grę życia osób różnych” — że znał typy oryginalne i rysy dziwne charakterów ludzkich z owego czasu. Ale dobry zamiar spełził na niczem, bo wiekowym już był i prócz tego „umysł skołatany dolegliwościami i nawałem trosk powszednich, łaknie tylko spoczynku.” Przytem i na oczy zaczął już zapadać, przecież obiecywał bratankowi, że opowie część wspomnień swoich najmłodszemu synowi, w którym dostrzegł też zdolności pisarskie, aby on dokonał, co ojcemu było już trudno. Czy jednak przyszło to kiedy do skutku? Pamiątnik miał być spisany tylko dla użytku rodziny, ale spuścizny takie należą do całej powszechności i w każdym razie, choć część jakaś tych wspomnień jeżeli zostały przekazane pamięci syna, należy nam się od niego.

W r. 1815 oddany zostaje Zaleski do sławnych wtedy szkół bazylikańskich w Humanu, jest więc znowu w swojej rodzinnej Ukrainie — nie wiadomo nam przecież, przy jakich wypadkach przebiegu. Tu otacza go grono młodzieży, tak jak on skłonnej do uczuć szlachetnych i wyższych ducha polotów. Jest tu — Seweryn Goszczyński, Michał Grabowski, Tomasz Padura, Aleksander Groza, Seweryn Gałęzowski (sławny okulista), Józef Mianowski (zasłużony rektor Szkoły Głównej Warszawskiej). W tym-to samym roku Mickiewicz wstępuje do uniwersytetu wileńskiego — razem z jakąś to grupa pięknych istot młodych, różnie do życia, bui w stronę światła: nauki i poezji.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRIMULA VERIS

Przekład z Lenan'a, „Polenlieder,” pisanych w Ameryce 1833 r.

Już się rozwijasz,
Pierwiosnku biały!
Najlżej ze wszystkich
Kwiatki twe spały:
Więc się zbudziłeś,
Pierwszy na łące,
Rozchyłasz listki
I witasz słońce.
Pierwszy ty słyszysz
Poszepty wiosny,
Primula Veris.
Kwiatku miłosny!
I mnie tak było
W serca ogrodzie:
Kwiat się rozwinął
Jeszcze o chłodzie!

Primula Veris.
Kwiecie wierzące!
Wzrusza je pierwsze
Tchnienie gorące.

Wierzy, że wiosna
Zstępuje z nieba,
Że jej woń swoją
Wydać potrzeba.
Więc pierś otwiera
Na jej przyjęcie,
I marzy słodko
O wielkim święcie...
A może chmurne
Będą niebiosa?
Przyjdzie wiatr mroźny
I zimna rosa?...
Lecz niech kwiat więdnie
W chłodu godzinie:
Wierząca jego
Dusza nie zginie!

M. I.

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Cóż ty myślisz — odpowiedział mu jowialista, — że o Zbarażu tak w krótkich słowach można uczynić relacją, jak o paktach zborowskich? My cośmy tam byli, gdyby to opisywać przyszło, na cały żywot mielibyśmy co czynić. Nie było dnia bez jakiegoś sławnego wypadku, nie było nocy, żeby Kozactwo nie spróbowało się wkraść lub nas oszukać. Jednem okiem człowiek spał, a rozbierać się nigdy nie myślał. I nie na wieleby się to przydało, bo kosztu nie mieliśmy do zmiany, a w odzieży i zbroi tylko codzień sprzązki i pętlice krócej było trzeba wiązać, bośmy z ciała opadali w oczach.

Kule kozackie, szable ich i tatarskie strzały, to wszystko jeszcze niczem było przeciwko urągowisku tego motłochu, który, pod same wały nasze wdarłszy się, panom czapkami się kłaniał.

— Miłościwi panowie — wołali — czynsze za legają, czemu nie pośpieszycie ich wybierać! Nam aż tęskno za wami...

Więc się, bywało, który słowem odetnie tej szui, ale ono nie doleci do nich...

Westchnął Xieźki.

— Chmielnicki już wypróbował — mówił dalej — że nas dobronudnych na ladaco wziąć można, żeśmy wierzyć gotowi we wszystko i słowo każde brać za dobre, tak prostackimi sposobami nas podchodził i z sromać się musieliśmy, za jakich on nas miał głupców. To listy, to posłowie, to zbiegi jakieś nas nachodziły.

Z całego naszego obozu jeden jedyny człowiek trwożę w nich budził i nienawisć taką, że imię jego do wściekłości ich podniecało: ksiązę Jeremi. Wspomnieć go im było, to bledli. Wiedzieli, że ich znał na wylot, że im nigdy wiary nie dawał, pokorze ich nie ufał i przebaczyć nie mógł. Jemu jednemu w oczy spojrzeć-by nie śmiał Cumiel, bo ten go przenikał do szpiku, gdy inni, jak Kisiel, to się z nim bratali, to smarowali, to pochlebiali, to się poniżali przed nim, a nie znali go wcale.

Głów-by był nie mało poświęcił, gdyby Jeremiego mógł dostać, a byłby się pastwił nad nim...

Za Xieźkim opowiadał Brodowski, dodawał Gnoiński też i cały dzień a noc by ich tak słuchać było można; aniby się wyczerpali, bo tragedia zbarazka obfitą była w takie sceny, których najsłabsza nie wyroi fantazyja.

Znaleźli się tu i dyssydenci, którzy czasu processy katolickie swoje psalmy na przekór spie-

wać poczęli, nie dla Pana Boga, ale aby ludziom się postawić.

— Gadjacie tedy co chcecie — skonkludował Xieźki — a wszystko to marne... Przyszedł kanclerz Ossoliński, pocałował się z Islam Gerejem, z Kozakami pobratał i jemu wszystko winną będzie ojczyzna. Zbarazcy żołnierze nie uczynili nic!

II.

Przez cały ciąg tej wyprawy, która zaprowadziła Jana Kazimierza pod Zborów i zamknięta została sławnym owym traktatem, królowa Marya Ludwika z gorączkową ciekawością chwytając nowiny, które jej codziennie przynoszono. Wszyscy ci, co się jej zalecić chcieli, a mało było, co by nie pragnęli mieć u niej łaski, bo wiadano, że była wszechmocną; polowali na wiadomości, rozstawiali konie, posyłali najsporniejszych ludzi, aby co najrychlej królowej dostarczyć wieści... Marya Ludwika czuła to, iż pierwszy krok w pole, z wojskiem, na czele rycerstwa o przyszłości króla stanowił, a gdyby raz bohaterem się stał, jużby mu łatwo było się nim utrzymać.

Drżała więc i modliła się.

Ze stołu jej nie schodziła mapa tych krajów, które król z wojskiem zajmował; sekretarz Des Noyers wyszukiwał starych ludzi, którzy bywali na kresach, na Rusi i coś do obrazu ich dostarczyć mogli.

Trwoga ogarniała ją szczególnie, gdy zewsząd skargi nadchodzić zaczęły o opieszałem ciągnięciu pospolitego ruszenia, z którego się nasmiawano. Straszono imieniem jego Kozactwa, ale pocichu szeptano, iż nic na nie rachować nie było można.

Wyprawiała więc królowa listy do Ossolińskiego, do dowódców, do króla, a podczas i ludzi, którzy oddziały wojsk ociągające się popychać mieli i napędzać.

Po kościołach odprawiano nabożeństwa; duchowni przynosili wroźby i przeczucia, dwór sny swoje o królu, astrologowie obrachunki koniunktur na niebie.

Des Noyers szczególnie, pouszy w astrologicznych rachubach, dostarczał królowej wroźb, jak najpomysłniejsze obiecujących skutki tej wojny, która miała się wiekopomnym zamknąć pokojem.

Królowa wiedziała bardzo dobrze, iż z męża bohatera nie uczyni, ale napatrzyła się w ciągu życia tylu mężów sławnych, co sławę zawdzięczały przypadkom, iż sztuczne stworzenie jej dla Jana Kazimierza nie wydało się niepodobieństwem...

Długo jednak tym nadziejom i oczekiwaniom Maryi Ludwiki nie odpowiadały wypadki, o których się dowiadywała.

Opieszale jakoś spieszono na odsiecz Zbarazowi, a ruszenie się nie poruszało. Siły, z którymi zmuszony był Jan Kazimierz iść pod Zborów nie starczyły do takiego pogromu, jakiego pragnęła i spodziewała się królowa.

O pierwszych utarczках nie dano znać jej, a po nich tak rychło nastąpiło z Hanem porozumienie, iż królowa razem odebrała uwiadomienie o gotujących się traktatach i o bitwach, które nawet w najpochlebniejszych występujących barwach, budziły jeszcze więcej troski, niż pociechy przynosiły.

List, który zwiastował, że Hana odciągnąć Ossoliński potrafił od Kozaków, okrzykiem zwycięstwa powitała królowa.

— *Un coup de maître!* — zawołała, chlubiąc się nim przed ks. de Fleury.

Niespokojna, zniecierpliwiona, oczekiwała potem następstw układów, ale wiadomość o nich się spóźniła, a gdy naostatek nadeszła, w wyrazach ogólnych sławiąc kanclerza dzieło Marya Ludwika zachmurzyła się...

Krótko napomknięte warunki dawały jej oćnieć ten traktat, który miał pozór zwycięstwa, ale był wistocie hańbą. Słukała się potajemnie, nie pozostawiało nic teraz nad sławienie układów,

wynoszenie ich, aby ludzie się nie dopatrzyli, jak sromotni byli.

Wynoszono więc kanclerza... i króla razem... ale w duszy Marya Ludwika bolała nad takim obrotem rzeczy, który skazywał króla na dawną jego rolę: człowieka bez charakteru i siły.

Postarano się na zamku, ażeby ta noc, w której w istocie Jan Kazimierz dał dowód, że w nim duch jeszcze mieszkał rycerski, choć stłumiony, w opisach i listach wystąpiła z wielkim blaskiem.

Król jeszcze nie doszedł z powrotem do Lwowa, gdy w Warszawie na Ossolińskiego drażliwe pokazały się paskwillusze. Przyniesiono na zamek ową parodję traktatów, która krążyła po Lwowie. Kazano ją niszczyć...

Z Warszawy list zalecił królowi, aby się przebrał w strój polski... Staraniem Maryi Ludwiki gotowano kanclerzowi i królowi świetne przyjęcie, zawczasu podnosząc ich zasługi; ale przeciwko temu prądowi z góry, silniejszy daleko z dołu parł, w którym męczenników zbarazkich sławiono, a zborowskich polityków wysmiewano.

Królowa się wkrótce przekonała, że bezpiecznie było daleko nie podnosić do zbytku zasługi, aby nie wywołać zajadłego szyderstwa...

Z listów męża przekonywała się, że zaspokojony zupełnie tem, co mu się zdobyć udało, dosyć obojętnie patrzył na laury i tryumfy. Tęsknił już za spokojem, za łowami i za karłami swymi, — któż wie? czasem może za królową i za pięknymi paniami, które go zawsze obchodziły żywo.

Potrzeba jakaś pilna zmusiła Jana Kazimierza przodem do Warszawy wysłać Strzębosza, który z wielką radością podjął się biedz do stolicy. Wioził on listy do królowej, lecz ułożył sobie, iż skorzysta ze zręczności i dobije się do pięknej Bianki.

Strzębosz nie był rad z siebie, ani z króla i wyprawy. Milczał i bronił pana, ale, bolał w duszy, bo wojnę tę wcale sobie wyobrażał inaczej. Spodziewał w niej wślawić, urosnąć, z dworaka przeistoczyć na rycerza, wszystko to się nie powiodło.

Natęczał się napróżno, ofiarował i nabijał, wysłano go gdzieindziej, tak, że i prochu mało powąchał i u króla sobie innej sławy nie pozyskał, oprócz sprawnego dworaka. Wracał do Warszawy takim jakim z niej wyjeżdżał...

Wszystkie te myśli czarne jednak rozbiły się i uleciały, gdy dojeżdżając do miasta, ujrzał wieżyczki zamkowe, czarne mury kościoła Ś-go Jana, kochaną Wisłę — i w oddechu poczuł to powietrze, którego mu wszędzie brakło.

Zaledwie zsiadł na podwórzu, nie mając się czasu ogarnąć, Strzębosz odebrał rozkaz od panny Langéron, która go oknem pierwsza zobaczyła i poznała, aby, jak stał, do królowej pośpieszył.

Musiał więc być posłusznym...

Oczekiwała na niego już pani i, listy odebrawszy, poszła do okna natychmiast, aby na nie rzucić okiem.

Strzębosz zdała spostrzegł, jak się jej brwi ściagały, usta ścisnęły, jak ręce drżały, gdy przewracała zapisane szerokim króla charakterem kartki. Ścisnęła je potem żywo i podeszła do posłańca.

Damazy źle bardzo mówił po francuzku i po kilku słowach dostał grzeczną odprawę...

Zaledwie był za progiem, gdy go dworzanie obiegli... i nie dając tchnąć, poprowadzili do izdebki, w której chciał się przebrać i spocząć.

Okazało się to niepodobieństwem. Z własnej ciekawości i wysłani przez królową osaczyli go tak przyjaciele, znajomi, towarzysze, że o spoczynku ani mógł myśleć. Nakarmiono go i napojono, ale za to zarzucono pytań tysiącem...

Dyzma sławił pana i wynosił wszystkich, co mu towarzyszyli, nie zapominając o sobie, lecz poczuł w zadawanych mu pytaniach, postrzegł w uśmieszkach dwuznacznych, że i tu już na zamku w wielkie czyny i wielką wiktoryą niezupełnie wierzono.

Musiał więc powtórzyć to, co już na swe uszy od partyzantów i obrońców kanclerza i króla słyszał (co później sam Ossoliński na sejmie głosił), że zwycięstwo pod Zborowem odniesione

daleko było większem i chlubniejszym, niż sławiona owa Chocińska Wiktorya za Zygmunta III.

Wszyscy mu się w oczy rozśmiali. Zarumienił się i zamilkł...

Chciano owe mężne potykanie się pod Zborowem podnieść do wysokości, na której utrzymać się nie mogło, a przesadą umniejszono je tylko.

Kury piał, gdy Dyżma w końcu padł na łóżko, i usnął tak dobrze, iż się dopiero nazajutrz około południa obudził.

Nie wiodło mu się widocznie, bo zasnął najlepszą godzinę, gdy swoją ukochaną mógł albo w kościele lub z kościoła powracającą napotkać. Musiał więc innego szukać sposobu wtargnięcia do domu Bertoniowej.

Wymuskawszy się trochę, nad wieczór dopiero skierował się na Stare Miasto. Zdało mu się, iż śmiało nadużył może królewskiego imienia, gdyż Jan Kazimierz w sprawach miłostek dworzan swoich był wielce pobożającym i, wytargawszy za uszy... przebaczał.

Wprost więc i śmiało wszedł do domu w którego oknach napróżno znajomej szukał twarzą. Bertoni mu zakazała wprowadzić pokazywać się przed swem obliczem, lecz Strzębosz szedł ze zmyślonem od króla pozdrowieniem... rachował więc, że go wypędzić nie może.

Zuchwale wtargnął do przedpokoju i już miał wejść do bawialni, gdy drzwi się otworzyły i stara, zawsze klejnotami okryta, malowana Włoszka, powitała go — krzykiem.

— Przybywam wprost z obozu — odezwał się, nie dając jej przemówić, Strzębosz. — Król jmość kazał mi pokłonić się wpiani i pannie Biance. Więc choć zakazano mi tu się pokazywać, rozkaz pana więcej waży nad wszystko...

Bertoni stała z usty otwartymi. Wiedziała bardzo dobrze, iż Dyżma kłamał, ale ciekawość ją piekla... Radaby była się coś dowiedzieć, a Strzębosza... nienawidziła. Stała więc w niepewności, co pocnie.

Wprowadzić go i dać mu widzieć Biankę, nie chciała za nic w świecie...

Dyżma się tymczasem zbliżał, jakby ją chciał zmusić go do wprowadzenia wewnątrz... dalej.

Bertoni drzwi sobą zapierała.

— A! to piękna wistocie gościnność — odezwał się Strzębosz — królewskiego posła w antykameryze trzymać i progu mu nie dać przestąpić!

Włoszka się rozgniewała.

— Cożes mi to przyniósł od króla? — zapytała.

— Pozdrowienie przesłiczne — rzekł Dyżma — i to zapewnienie, że z powrotem do Warszawy król gościnnie przywiezie.

Bertoni pokręciła głową.

— A więc poselstwo sprawione. — odezwała się. — Ruszaj waszmość zład przyszedł, kłaniaj się królowi jmu, i bywaj mi zdrów.

Stał nieporuszony Strzębosz. Po za starą Włoszką, przez na wół otwarte drzwi ukazała mu się uśmiechnięta twarzyczka. Witaa go figlarnym wyrazem.

— Nie będę więc miał szczęścia nawet pozdrowić od króla panny Bianki? — odezwał się dworak — Król jmu, wyraźnie mi zalecił, abym sam dopełnił poselstwa.

Za ramion matki Bianka, nie mogąc śmiechu wstrzymać, parsknęła. Bertoni zwróciła się ku niej z gniewem, chcąc zmusić, aby odeszła; kilka kroków zrobiła idąc za nią, a tymczasem Strzębosz wśliznął się i stał już w środku pokoju.

— Mam od króla dla panny Bianki pozdrowienie — rzekł zbliżając się wesół, a wcale nie zważając na rozpaczliwe ruchy Włoszki. — Król, okryty laurami, powraca... Pan Bóg poszczęścił orężowi jego... Tatarzy sami przyszli na kolana prosić o pokój, a Chmiel nogi jego całował.

Bertoni, słuchając, mimowoli zapomniała o tem, że Strzębosz gwałtem się tu dostał... Bianka zaś wcale nie zdawała się na gniew matki zważać, i śmiało na niego patrzyła, zalotnie mu się uśmiechając.

— Kiedyż nasz król powraca? — zapytała dziewczę.

— Wprędce bardzo — rzekł Dyżma — po trudach potrzebuje odpoczynku.

Rozmowa zdawała się chcieć przedłużyć, lecz Włoszkę gniew nanowo wybuchający ogarnął. Nie zwracając się już do gościa, chwyciła córkę za ramiona i popędziła ją, śmiejąc się, i opierającą potrosze, do drugich drzwi, które za nią na klucz zamknęła.

Strzębosz patrzył na to wdychając... Włoszka powróciła ku niemu wzburzona.

— Widziałeś? — poczęła żywo. — Otóż pamiętaj sobie to, że gdybyś nie wiem jakich podstępów zażywał, wkładał mi się, narzucał, a nawet króla miał za sobą, nigdy ci do mojego dziecka zbliżyć się nie dam. Wysokie progi na twoje nogi. To senatorski kasek! Rozumiesz!

— Doskonale — odparł Dyzma — ale ja jestem desperat taki, że nawet senatorem zostać nie wydaje mi się niepodobieństwem: więc i do panny Bianki się zbliżyć też nie widzę niemożności.

— Czekajże, nim przyjdiesz znowu do mnie, aż senatorem zostaniesz! — zawołała, zachodząc mu drogę i ku wyjściu go napędzając Włoszka. — Jeżeli ta stara pomarszczona Francuzica Langéron wychodzi za Kasztelana Płockiego, — rozumiesz? to za kogoż powinna młoda, piękna, no — i nie bez grosza pod poduszką — wyjść Bianka! A cóż ty jesteś przeciw niej? I sądzisz, że ja ci pozwolę się tu kręcić, aby ludzie Bóg wie co myśleli?

— Co się tyczy panny Langéron — odparł Strzębosz poważnie — święta prawda, że pomarszczona jest i nie pierwszej świeżości, ale królowa jej miejsce matki przy weselu zastąpi i Kasztelania Płocka rychło się w województwo jakie z dobrem starostwem zamieni. Przez to się i marszczki wygładzą!

— A ty myślisz — zakrzyknęła gwałtownie Bertoni — że ja u mojego króla dla męża Bianki nie wyrobię też starostwa?

Dyzma wesał się poczęła kręcić.

— Mówmyż już otwarcie — dodał z uśmiechem. — Król ani krzesła ani starostw nie rozdaje. Zbyt się kłopotu tego, zdając to na królową jejmość. Mówię, kłopotu, bo gdy wakans najmniejszy się objawi, dziesięciu pretendentów do niego, a dziesięciu potem wrogów, gdy tylko jednemu gęba się zatka. Król więc, choć bardzo pani Bertoni sprzyja, to, wiadomo, nie da nic, bo nie do rozdawania nie ma. Na to nie rachujcie. Żeby zaś królowa jmość miała pannę Biankę wyposażyć? hm! o tem ja wątpię...

Bertoni obrażona wzięła się w boki, oczy się jej zaogniły.

— No! to ja ją wyposażę sama — zawołała, ze złością tupiąc nogą. — Królowa sobie za starostwa i za krzesła płacić każe... znajdę je za co kupić!

— Tst! — rzekł, palec kładąc na ustach, Strzębosz. — Może to być, że królowa podarek przyjmie, gdy jej kto zaofiaruje, ale mówić o tem, że starostwa i urzędy są na sprzedaż — nie godzi się. A nużby to doszło do uszów królowej?

Gniewnym wzrokiem zmierzyla Włoszka Strzębosza.

— Dałeś mi waszmość naukę — odparła — No, poselstwo odprawione, a zatem, kłaniam uniżenie, kłaniam uniżenie, i żebyś mi waszmość już tu więcej nie przychodził. Proszę, proszę!

— Do domu, oczywista rzecz — rzekł spokojnie Dyzma — nie przyjdę, gdy mnie tak nie gościnnie przyjmujecie; ale uprzedzam, bo zdradą nie poczynąć nie chcę, że koło domu i gdziekolwiek pannę Biankę będę mógł spotkać, krążyć muszę i nie przestanę. Jestem otwartym. Ulica wolna dla każdego, nawet dla kominiarzy. Będziesz więc wspaniały zmuszoną córkę na klucz zamykać, co dla młodego dziewczęcia nie jest ani zdrowem, ani miłym...

Przywiedziona do ostateczności bezwstydnymi żartami Dyzmy, Włoszka porwała się i, oburącz go w plecy uderzywszy, popchnęła ku wyjściu.

— Nie frasuj się ani o mnie, ani o moją córkę — zawołała — a to sobie zapamiętaj, że ona nie dla ciebie.

Strzębosz dał się nieopierając wysadzić za próg, tu odwrócił się, pokłonił grzecznie, uśmiechnięty i rzekł:

— Nóżki całuję, królowi jmości nie omieszkam

donieść o posłuchaniu, jakieś mi pani dać raczyła.

Bertoni, nie odpowiadając, z trzaskiem mu przed nosem drzwi zaparła.

Strzębosz wyszedł z antykamery powolnym krokiem ku wschodowi.

Obok wyjścia głównego znajdowały się drugie drzwi, pomniejsze, prowadzące do mieszkalnych izb. Znalazł je na wpół otwartymi i dwoje oczek przez nie patrzyło.

Poskoczył ku nim.

— Królowo moja! A! królowo moja! — zawołał — daj choć rączkę pocałować! choć paluszek jeden. Mutus taka niedobra.

Jeden biały paluszek pokazał się we drzwiach, a usta Dyzmy przylgnęły do niego; ale zaręczyć nie było można, czy nie poskoczyły potem wyżej. Śmiech się dał słyszeć... trzaśnięcie drzwiami.

Strzębosz podśpiewując ulubioną wówczas Morzyna piosenkę, powoli bardzo schodził ze schodów:

Dobranoc, dziewczę moje!

Już brudnym cieniem okryły się nieba.

I zgasły słońca zachodnie podwoje,

Już się na smaczny sen udać potrzeba,

I w nim utopić senne niepokoje.

Dobranoc serce moje,

Dobranoc dziewczę moje.

Ale półgłosem nuconej piosenki nikt nie słyszał.

Wypocząwszy dzień, poszedł Dyzma do królowej z zapytaniem: czy mu odpowiedzi wieść nie każe. Tu trzymano go tu czas jakiś, a w ostatku wyszedł sekretarz z tem, że się Marya Ludwika N. Pana wprędce spodziewała z powrotem, więc Dyzmie do woli dawano, albo tu pozostać lub jechać naprzód... bez listów.

Nie czując się bardzo potrzebnym królowi, a chcąc sobie wypocząć swobodnie, Dyzma po rozmyśle został na zamku i zajął się tylko tem, aby wszystko na przyjęcie gotowem było.

Na zamku i w mieście, codzień się spotykając z ludźmi różnymi, którzy radzi go słuchali rozpowiadającego o Zborowie, mógł się Strzębosz przekonać, że owa wiktoria, którą on do chocimskiej porównywał, i owe traktaty sławne — bardzo jakoś lekko były szacowane.

Wprawdzie część winy składano na pospolite ruszenie, gnuśne i skąpe, które się tak wlokło, że połowa jego, nieprzyjaciela nie widząc, do domów powracała, ale ci co ze Zbaraża tu przyjeżdżali, zamierowali tak dalece Zborowskich, iż ci się przy nich karłami wydawali.

Bohatera więc tu grać nie mógł Strzębosz, ale ucierał się o to codzień, że pod Zborowem król i wszyscy obowiązku rycerskiego dopełnili.

— O traktatach ja tam nic nie wiem — dawał — złe czy dobre są, nie moja rzecz sądzić; ale chwałę się Zbarażanie Bernardynem zabitym przy mszy świętej, to i my naszego ks. Lisickiego mamy, który poległ na placu boju, a mamy też wielu chorążych i rotmistrzów, którzy stali pocziwie i żywotem zapłacili dług ojczyźnie.

Posmutniał wszelako Strzębosz po kilku dniach poczuwszy, że w Warszawie ani kanclerz, ani król nie znajdują takiego przyjęcia, jakie sobie obiecywali. Na Ossolińskiego, który i bez tego nieprzyjaciół sobie siłą zrobił dumą i szorstkością, wszyscy bili, że Tatarom haracz, a Kozakom wszystko dał, czego chcieli, tak, że zamiast kary za rebelię, byli jeszcze za nią wynagrodzeni.

— Spraktykowawszy, mówiono po Warszawie, że bunt się tak dobrze oplaca, czemużby jasnie panowie Zaporozcy znowu sobie pozwolić nie mogli?

Inni gardło już za to dawali, że Chmielnicki, wcale sobie przysięgi nie ważąc, cokolwiek sił nabrawszy, znowu tęsamą grę rozpocznie.

Chodziła i ta gadka po bruku, że Chmiel głosił, jakoby nieboszczyk król Władysław IV sam go na panów i szlachtę animował.

Mazury już odzywały się z tem, iż indagować należało, kto był rebelii kozackiej przyczyną.

Nim tedy król ze Lwowa tu nadciągnął, tryumfy zborowskie bardzo jakoś pobiły, wyra-

zano się o nich z przekąsem i o przyjmowaniu uroczystem zwycięzców, mowy być nie mogło.

Królowa źle ukrywała bolesć, jaką jej to sprawiało, ale inaczej o całej wyprawie i jej skutkach nie mówiła, tylko wynosząc ją i sławiąc mężstwo króla, rycerskiego ducha jego, a rozum i zręczność kanclerza.

Strzębosz już ubezpieczony, że spoczywać może, wczasu sobie używał z pozostałymi na zamku dworzanami, gdy dnia jednego nagle zawołano go do królowej.

Tu w przedpokoju mu już paż francuzik szepnął, że listy dostanie do króla.

— Ale N. Pan już w drodze do Warszawy być musi! — odparł Dyzma.

Nie było na to odpowiedzi.

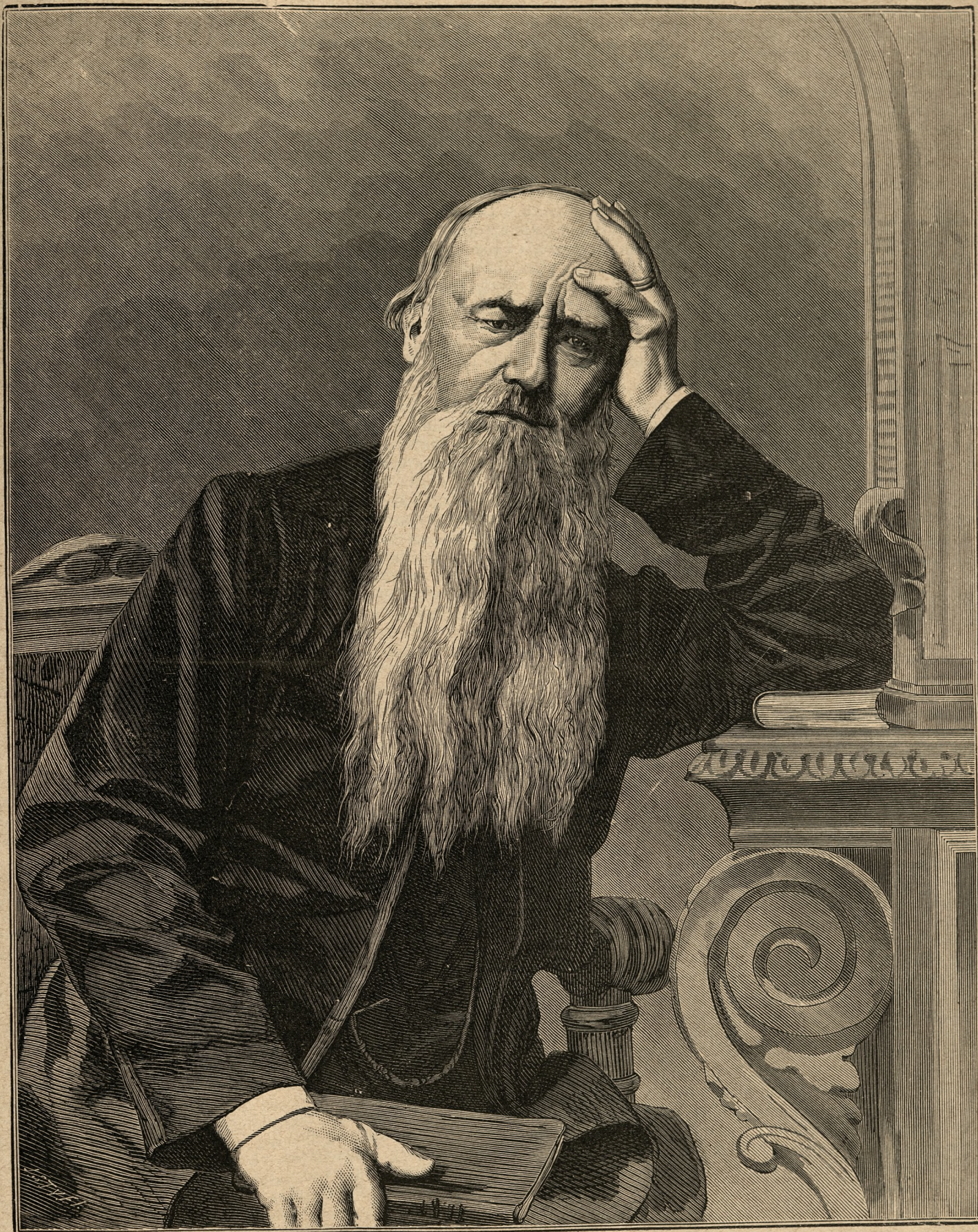
(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Kwietniu 1886 r.

Medal na cześć księżny Leonowej Sapieżyny. — Bilanse kasy oszczędności i rozdział zysków na cele filantropijne. — Stowarzyszenie czeladzi rzemieślniczej „Skala.“ — Pożar teatru. — Odwaga straży ogniowej. — Nieustająca wystawa sztuk pięknych. — Rysunki i akwarella dawniejsza Kossaka. — Odczyty.

Ustępująca rada miejska zakończyła okres swojej trzechletniej czynności powziętą na ostatniem swem posiedzeniu uchwałą, aby kosztem miasta wybić medal na cześć księżny marszałkowej Sapieżyny, dla wywdzięczenia wieloletnich zasług na polu filantropijnej, które ta zacna obywatelka około tutejszych zakładów dobroczynnych położyła. To, co księżna Sapieżyna na tem polu u nas zdziałała, nie da się kilkoma określić słowy. Za jej staraniem i szczególniejszą zapobiegliwością powstał w przeciagu lat szereg dobroczynnych instytucji, które pamięć jej przekażą potomności. Umiała ona stworzyć źródła dochodów, byt im zapewniające, których nikt inny, bez jej poświęcenia i stanowiska towarzyskiego, nie byłby w stanie wydobyć. Księżna pojęła zadanie swe obywatelskie w duchu prawdziwie chrześcijańskim i z uwielbienia godną usilnością i wytrwałością dążyła przez całe życie ku spełnieniu jego. Od czasu przybycia jej do Lwowa datuje się nowa epoka w dziejach dobroczynności publicznej u nas. Księżna była najczynniejszym członkiem Towarzystwa S-go Wincentego a Paulo i natchnęła je życiem, przewodnicząc swym przykładem wszędzie, gdzie szło o czyn obywatelski, o poratowanie ubóstwa, o podźwignienie nieszczęściem dotkniętych osób lub rodzin. Działanie wszakże księżny Leonowej nie ograniczało się na te, że tak nazwę, do rażnej dobroczynności. Dążeniem jej było niesienie trwałej pomocy społeczeństwu, gdzie najbardziej było potrzeba leczyć rany społeczne, zapobiegać im na przyszłość. W tym duchu postępując, położyła kamień węgielny do utworzenia zakładu sierot pod wezwaniem św. Teresy, który pod jej troskliwym okiem i opieką wychował kilka pokoleń osierociałych dziewcząt, przysposabiając je na uczciwe i pracowite kobiety. Jej staraniom i szczodrości zawdzięcza byt swój szpitalik dziecięcy św. Zofii, mieszczący się w pięknym, umyślnie na ten cel wyznaczonym, budynku, który — to zakład, jakiego nie było tutaj przedtem, stał się prawdziwem dobrodziejstwem dla Lwowa, a setki matek błogosławią jego założycielkę i opiekunkę. Ostatniem dziełem księżny Sapieżyny jest *Dom pracy* pod godłem „Opatrzności“, w którym kilkadziesiąt starców obojej płci znajduje schronienie i zatrudnienie odpowiednie wiekowi. Przytroczenie tych kilku instytucji, wprowadzonych w życie i utrzymywanych z funduszków staraniem księżny zebranych, czyż nie maluje dostatecznie jej pięknej duszy i zasług obywatelskich w społeczeństwie? Zjednała ona sobie niemi cześć i miłość powszechną. Jakoż postanowienie rady miejskie



JÓZEF BOHDAN ZALESKI

(urodzony 14 Lutego 1802 † 31^{go} Marca 1886 roku)

Według fotografii Walerego, w Paryżu.

wybicia medalu ku uczczeniu tych zasług zostało przez całą publiczność przyjęte bardzo sympatycznie, jako objaw słusznej ze strony miasta wdzięczności.

Po wzmiance o instytucjach dobroczynnych nasuwa się inna: o działaniu w tym kierunku tutejszej kasy oszczędności. Bilanse jej wykazują w tym roku znaczne stosunkowo zyski, dzięki dobrej organizacji zakładu i umiejętności jego prowadzenia. Otóż wychodząc z tej zasady, że zyski te wypływają z obrotu funduszy pochodzących z wkładek oszczędnościowych uboższych sfer ludności, a zatem winny głównie być obracane na zasilanie zakładów dobroczynnych i stowarzyszeń pożytecznych społeczeństwa — z tej wychodząc zasady — rada zawiadowcza rozdziela w roku pewną część zysków na zasilanie dla rozmaitych instytucji tego rodzaju, tudzież na rozdawanie w dzień każdego Nowego Roku nagród sługom, odznaczającym się moralnością, które przeszło lat dziesięć na jednym miejscu u tych samych osób w służbie pozostawały. Część zaś przeważną zysku, która po takim obdzieleniu stosownymi zasilkami rozmaitych zakładów i stowarzyszeń pozostanie, uchwalila rada zawiadowcza dawniej już, składać jako fundusz na założenie jakiejś wielkiej instytucji filantropijnej, gdy kapitał, co roku zwiększany, wzrośnie do odpowiedniej wysokości. Wówczas też dopiero ma być oznaczona właściwe przeznaczenie zakładu zamierzonego. Dotychczas najwięcej głosów przemawia za utworzeniem z tego funduszu *Domu podrzutków*, któryby wiele sierocęj nędzy uchylił. Ponieważ jednak zapewne upłynie jeszcze jakie lat dziesięć nim fundusz wzrośnie do kwoty tak poważnej, aby można utworzyć i uposażyć zeń trwale zakład większego rozmiaru i znaczenia, przeto pytanie: jaki to ma być zakład, pozostaje odroczonem do właściwej pory. Z przyrostem tegorocznym wynosi fundusz rzeczony obecnie 95,000 guldenów, co zawsze już jest piękną, na początek, kwotą.

Stowarzyszenie czeladzi rzemieślniczej *Skala* święci w roku bieżącym jubileusz trzydziestoletniego swego istnienia. Dzieje *Skali* wiążą się ściśle z podniesieniem moralnem i cywilizacyjnym stanu rzemieślniczego u nas. Spełniła ona pod tym względem ważne zadanie i może się pożyteczną pochlubić przeszłością. Obecnie zaś, rozszerzając przy sposobności tegorocznego jubileuszu ramy swej działalności i zreformowawszy się w sposób odpowiedni wymaganiom stosunków dzisiejszych, zapowiada również użyteczność swoją na przyszłość. Założona w roku 1856, na wzór istniejących już podówczas stowarzyszeń tego rodzaju w Niemczech, przez grono światłych, a gorliwych w pracy około dobra społecznego obywateli, była *Skala* owym pierwszym kamieniem węgielnym, na którym miała się wznieść budowa lepszej przyszłości stanu rzemieślniczego u nas, przez podniesienie poziomu jego oświaty i moralności. Zawiązanie rzeczzonego stowarzyszenia było pierwszym świtem, rozsiewającym dobroczynne promienie moralnego uszlachetnienia pomiędzy rzemieślniczą naszą młodzieżą, która naówczas bardzo pod tym względem niska stała. Poczciwej, ale opuszczonej a nieświadomej swego upadku, ówczesnej młodzieży rzemieślniczej, potrzeba było tylko ukazać promień światła, wskazać drogę, odezwać się do niej słowem nauki i przestrogi, aby się chętnie i gromadnie pogarnęła ku lepszym celom, aby porzuciła dawne nałogi, szukając w stowarzyszeniu nowo — zawiązanem wykształcenia i rozrywki towarzyskiej. Pierwszym prezesem przez trzy początkowe lata istnienia towarzystwa, był ksiądz Morawski, dzisiejszy arcybiskup lwowski — po jego ustąpieniu objął kierownictwo *Skali* ksiądz Zygmunt Odelgiewicz, słynny swego czasu kaznodzieja archikatedralny, obecnie proboszcz jednej z tutejszych parafii miejskich, co mu jednak nie przeszkadza piastować do dzisiejszego dnia kierownictwa *Skali* i oddawać się temuż z całą gorliwością, z zupełnem poświęceniem czasu i sił, tak, jak od pierwszej chwili objęcia. Zasługi księdza Odelgiewicza położone około stowarzyszenia, jego mozolna, nieustanna praca, której

się podjął z prawdziwie kapłańskiem poświęceniem się wytkniętemu celowi, nie dadzą się opisać. Do wszystkiego potrzeba mieć pewne usposobienie z natury, powołanie, talent wrodzony. Otóż takie powołanie nauczycielskie tkwiło w duszy księdza Odelgiewicza, gdy obejmował kierownictwo *Skali*, i niem uzbrojony, zdołał dokonać tego, co zamierzał. Z małego wzrosło zawiażku obecnie posiada stowarzyszenie przeszło 50,000 guldenów majątku, piękny własny dom piętrowy, z ogrodem i salą gimnastyczną, czytelną, zliczną stosownie dobraną biblioteką, w której gromadzą się wieczorami członkowie na towarzyską rozrywkę i na rozmaite odczyty. Mają też swą własną kasę oszczędności i pożyczkową, rozporządzającą już dzisiaj znacznym funduszem z wkładek pojedynczych członków stowarzyszenia utworzonym. Są to wyniki bardzo pomyślne, i posiadamy już znaczny zastęp rękodzielników, poważne stanowiska w tutejszem obywatelstwie, mieszczańskim zajmujących, którzy byli członkami stowarzyszenia i temu zawdzięczają przeważnie swe wykształcenie i dobry kierunek. A i to też do zasług *Skali* zaliczyć należy, że na jej wzór i za jej przykładem zawiązało się w grodzie rękodzielnictwa tutejszego drugie podobne stowarzyszenie *Gwiazda*, które, rozwijając się również pomyślnie, wiele już także dobrego zrobiło.

Przerazającym wypadkiem zeszłego miesiąca był u nas pożar gmachu teatralnego tak groźny, że zaledwo przy heroicznym prawdziwie wysiłku naszych straży ogniowych, miejskiej i ochotniczej, zdołano mu tamę położyć. Straż ogniowa dała dowody zdumiewającej odwagi i zręczności, aby powstrzymać i nie dopuścić, zwłaszcza do zabudowań scenicznych, ognia szerzącego się gwałtownie przez dwie połacie gmachu pod dachem blachą pokrytym, do którego przystęp zdawał się prawie niepodobnym. Podrabinach z trzeciego piętra o rynnny dachu zahaczonych, wdrapywali się dzielni strażacy, z kocią iście zręcznością i niebezpieczeństwem życia na śliskie dachy cynkowe, podminowane płomieniami. Tej to zapamiętałej odwadze i umiejętności kierownictwu ratunkowemu zawdzięczyć należy, że pożar ograniczył się na jedną czwartą część gmachu, a nie rozszerzył na całą budowę. Straż pożarna dowiodła ponownie tym razem, jak pojmuje swe powołanie i jak dobrze jest wyćwiczoną.

Wystawa sztuk pięknych zmienia się i odnawia ciągle, dzięki pieczołowitości Dyrekcji w Krakowie, starającej się zasilac ją ciągle czemś nowem. Obecnie przybył znów cały szereg obrazów pomiędzy którymi głównie ściągają uwagę publiczności Bariasa „Śmierć Chopina“ znany w Warszawie, z kąd właśnie przybywa, dalej „Wnętrze kaplicy św. Sakramentu w kościele Krośnieńskim“ Gryglewskiego, rzecz przesłiczna pod względem perspektywy architektonicznej, jako też wogóle całej techniki w wykonczeniu i bogactwie najdrobniejszych szczegółów. Przybyło też parę obrazów rodzajowych *Bieszcza* Pochwalskiego i innych; ale wszystkie osuwają się na drugi plan wobec dwunastu rysunków Juliusza Kossaka, przedstawiających szereg scen z powieści Sienkiewicza „Ogniem i mieczem.“ Są to oryginalne kartony, których reprodukcją fotodrukową rozpowszechnił tutejszy właściciel zakładu fotograficznego p. Ed. Trzemeski, w albumie świeżo wydanym. Jakkolwiek *Album* to z podziwiania godną wiernością oddało kompozycje Kossaka, niemniej przeto pożądanem było poznanie oryginałów w ich pierwotnej piękności. Przesłiczne są to rzeczy, a że mają być ztąd przesłane wkrótce do Warszawy, przeto będzie miała publiczność wasza sposobność sprawdzenia słów moich i podzielenia się swemi wrażeniami. Kossak odczuł całą piękność opisów Sienkiewicza i przedstawił szereg scen najwybitniejszych, najbardziej malowniczych i charakterystycznych. Postacie opisane w powieści, wskrzeszone ołówkiem artysty, wystąpiły tu z całym wyrazem prawdy i życia, w przepysznem każdej sceny ugrupowaniu. Potrzeba, zaiste, mieć tyle zasobu fantazy i poczucia piękna, tyle przytem znawstwa archeologicznego i technicznej biegłości,

ile Kossak posiada, aby potrafić każdą scenę tak ożywić i w każdą wlać tyle wyrazu i urozmaicenia. Wartość wszelkiej ilustracji głównie na tem polega, aby nie zniżyła przedmiotu, nie zubożyła go wobec wyobraźni widza, lecz, przeciwnie, podniosła, ożywiła i wzbogaciła. Tę zaletę właśnie mają kompozycje Kossaka. To już nie ilustracje w zwykłym znaczeniu, nie samo tylko powtórzenie myśli cudzej, ale dzieła sztuki, posiadające w pojęciu i układzie całym cechy własnej oryginalnej twórczości artystycznej.

Obok tego przybyła ostatnimi dniami na wystawę akwarella Kossaka dawniejsza, ale z najpiękniejszych czasów rozkwitu jego talentu, gdy tenże stanął już był na dzisiejszej swej wysokości, przedstawiająca „Przeprawę rotmistrza pancernego wraz z taborem przez Wisłę pod Nieszawą.“ Na tratwie, znajdującej się właśnie na środku rzeki; umieszczeni ludzie, wozy, konie, zbroje tworzą malowniczą grupę, w której typowe postacie rycerstwa odznaczają się pełnym właściwej charakterystyki wyrazem. Poza rzeką widać krajobraz, lekko naszkicowany, gubiący się w szerokiej powietrznej przestrzeni. Prześliczna ta akwarella, nabyta pierwotnie przez p. Steckiego w Paryżu, podczas pobytu tamże Kossaka, przeszła później w inne ręce, a dzisiejszy jej właściciel, wielki miłośnik i znawca sztuki, udzielił ją na czas krótki na wystawę, na prośbę dyrekcji. Nie rychło zatem zdarzy się znów sposobność oglądania jej, gdy wróci do zbiorów właściciela. Jakoż publiczność korzysta z tej sposobności i zwiedza wystawę coraz liczniej, mianowicie od czasu przybycia obrazu Bariasa i obrazów Kossaka. Z tego widać, że skoro dyrekcyja będzie się starać o wzbogacenie wystawy dziełami istotnie odznaczającymi się swą wartością, to na obojętność publiczności uskarżać się nie będzie potrzeba.

Z Wielkanocą zakończy się tegoroczny okres wykładów, urządzonych przez Towarzystwo Pedagogiczne dla kobiet. Oprócz tego mamy zapowiedziane w bieżącym miesiącu dwa wykłady prof. Stanisława Tarnowskiego, o Michale Czajkowskim, których publiczność tutejsza oczekuje z wielką ciekawością, tak z powodu prelegenta, jako też i samego przedmiotu. W szeregu wyżej wzmiankowanych wykładów Towarzystwa Pedagogicznego dziedzinę literatury obrali sobie za przedmiot prof. Próchnicki i Juliusz Starkel, były dyrektor Zakładu Drohowyskiego Fundacji Skarbowski, obecnie redaktor „Gazety Narodowej.“ Pierwszy z nich rozbierał krytycznie Korzeniowskiego dramat „Andrzej Batory“, podobnie, jak w poprzednim wykładzie legendy i dramata odnoszące się do dziejów „Bolesława Śmiałego“; zaś p. Juliusz Starkel przedsięwziął zwrócić uwagę na prądy realistyczne do ostatecznego posuwając się naturalizmu w naszej bellestryce, pod piórem, niestety, kobiecym, autorem utalentowanych, jak Śnieżko-Zapolska, s. p. Chłędowska i kilka innych. Po wykazaniu przyczyny i genezy tego kierunku u nas potępił go słusznie, rozebrawszy, na przykład, parę wybitniejszych utworów, w których cynizm pióra, osłonięty nieraz powabną szatą stylu, najbardziej się wydatnił. Sąd trafny, wiele pięknych poglądów i prawda w ocenieniu rzeczy zaleciły ten wykład; ale niezupełnie zgodzilibyśmy się z wyborem przedmiotu, zważywszy dla kogo słowo żywe przeznaczonem było.

Włodysław Zawadzki.

NOWINY PARYZKIE

Paryż w Marcu 1886 r.

Wspomnienia pośmiertne. — O Profesorze Kleczkowskim. — Ludzie i rzeczy chwilowej wziętości. — Liszt i jego żegluga po tych falach ciekawości paryskiej. — Powód urzędowy i nieurzędowy tej podróży. — Jego *Sic vos non vobis*. — Liszt i Munkacsy. — Koniec Mozarta. — Przyjęcie na dworcu i w domu. — Msza u Ś. Eustachego. — Reklamy; ich wpływ i skutki. — P. Glouvet

jego nowa powieść „Ojciec.” — Prokurator i pisarz Uda-
ne spory. — Reklama archeologiczna 1).

Miasta tak olbrzymiej wielkości, jak Paryż, są prawdziwie jakby morza ludzkości. Każdy tu się przesuwa, mniej więcej zrecznie, na swej małej łodzi; chwytając, co się da zachwycić w przelocie, ale nie rad pouszczęca się na jego głębiny z których się ciągle podnosi jakby przestrasza i groźba. Ile tu egzystencji świetnych i nieznanych, potężnych i maluczkich, użytecznych i pustych, prawych i występnych, zniknęło i znikło codziennie w tych bezdennych falach? Bóg tylko jeden wie o tem, a każdy z nas, błądząc po wybrzeżach tego strasznego morza, prawdziwie chyba *człowieka morza*, znajduje te resztki, te okruszyny znikniętych jestestw. I wypytuje ich ciekawie: czemu byli i gdzie są ci których pokruszone szkielety wyrzuca na brzeg to mętne morze? Ile tu ginie ludzi, bez wiedzy, bez śladu! tego wyobrazić sobie nawet nie podobna; od czasu do czasu dowie się człowiek wypadkiem. Ten przyszedł, ten się jak cień przesunął, ten zniknął ze sceny! Ale tego ktoby tu wrósł i pozostał, daremnie byśmy szukali...

W ślad za Okieńczyem ponieśliśmy dotkliwą stratę w osobie p. Kleczkowskiego, niegdyś ministra pełnomocnego w Chinach, profesora Języka Chińskiego w szkole języków wschodnich w Paryżu. Kleczkowski, młodym bardzo chłopcem, przybył do Francji w roku 1842 lub 1843 i poświęcił się wyłącznie nauce języka chińskiego. Obdarzony rzadką, filologiczną zdolnością, w krótkim bardzo czasie stał się panem swojego przedmiotu, łącząc do głębokiej i klasycznej znajomości języka niesłychaną łatwość i czystość wyśłowienia, które za pomocą Chińczyka, osiadłego wówczas w Paryżu doprowadził do wysokiej doskonałości. To mu otworzyło drogę do szybkiej i świetnej kariery dyplomatycznej na Wschodzie. Przyjęty do Ministerium Spraw Zagranicznych w r. 1847 za rządów p. Guizota, wysłany został do Legacji Francuskiej w Chinach, jako pierwszy tłumacz i *attaché*. W r. 1850 widzimy go już drugim sekretarzem ambasady i przyjmującym najczynniejszy udział we wszystkich rokovaniach z Chinami.

W r. 1859, kiedy umyslnie poselstwo francusko-angielskie, do zawarcia traktatu. Chińczycy powitali przy ujęciu Pejho wystrzałami z armat. Kleczkowski wysłany został do Francji dla objaśnienia wszystkich szczegółów tego zajścia i tych rokowań; sprawiwszy świetnie swą misję, wrócił do Chin w następnym roku, wraz z wyprawą wojenną generała Montaubana, w charakterze pierwszego sekretarza ambasady — a po szczęśliwym ukończeniu kampanii mianowany został pełnomocnym ministrem w Pekinie.

Pozostał w Chinach w tem dostojenstwie aż do roku 1871. Później już jako „Officier de la Legion d'honneur” wrócił do Francji i zachowując zawsze swój tytuł ministra pełnomocnego, otrzymał katedrę Języka Chińskiego w szkole — jak mówiłem — wschodnich żyjących języków, gdzie jego wielka i praktyczna znajomość kraju, instytucji i języka chińskiego, ściągnęła mu wielką liczbę słuchaczy, z których niemało wyszło doskonale usposobionych do oddawania Francji prawdziwych usług w dyplomacji na Wschodzie.

Kleczkowski, ożeniony z Angielką, którą poślubił w Chinach, zostawił dorosłego syna, dziś już konsula francuskiego zdaje się w którymś z miast portowych włoskich. Wielki znawca i miłośnik chińszczyzny s. p. Kleczkowski, zgromadził w czasie swojego pobytu w Chinach niezmiernie ciekawy znakomity zbiór porcelany bronzów i materii chińskich. Zbiór ten zaleca się wyborem i rzadkością okazów. Porcelany należą do najrzadszych, znanych w całym świecie

w ostatnich latach. Chciał on sprzedać ten zbiór szacowny i rzadki, ale pragnął, aby to mogło być nabyte przez kogo z naszych do kraju. Zdaje się, że ten zamiar nie przyszedł do skutku. Co się z tem stanie? — nie wiem. Urodzony w r. 1817 s. p. Kleczkowski umarł w Sobotę d. 27 Marca r. b. liczył więc 58 roku życia; był pełen jeszcze siły i zdrowia.

W tej chwili ciekawym fenomenem dla Paryża jest stary Liszt. Ba, rzecz dowiedziona, że najczęściej przedmiotem podobnych owacy jest cudzoziemiec. Naprzód *swój* nie byłby może tak powolnym na wszelkie wymagania głupiego tłumu, a potem nie wytrzymałby ani on, ani przedsięwzięcia jego i skończyłoby na ogromnym śmiechu...

Wszystko tu służy interessowi lub zabawie, a człowiek, co przynosi jedno lub drugie, jest jakgdyby nagle rzucono go do wody, prąd go chwytając, unosi i nim zdola przyjąć do siebie, wrócić do przytomności, widzi, że brzegi daleko za nim zostały, i że co może zrobić najlepszego, jest to puścić się z tym prądem, starając się, ile możliwości, trzymać się na jego powierzchni.

Przyjazd Liszta do Paryża w tej chwili, dwójako tłumacząc ludzi dobrze poinformowani urzędowo, zjechał on, aby przewodniczyć w kościele S-go Eustachego w wykonaniu swego Oratorium, a raczej mszy zwanej Ostrzykońską (*Granter Messe*), skomponowanej i wykonanej w 31 Sierpnia 1856 r.) na poświęcenie w starożytnym Strigonium, w obecności cesarza Franciszka Józefa, odbudowanej świątyni z X wieku którą pożar zniszczył był w 1819 r.

Ale ta msza była już wykonaną w tymczasowym kościele S-go Eustachego w Paryżu, i na cel tychczasowych, jak dziś szkółek, 2-go okręgu miasta Paryża. Wówczas sam Liszt prowadził wykonanie swej muzyki, dziś zaś powierzył to p. Calonne'owi, jednemu z doskonałych dyrektorów orkiestry, znanych wszystkim koncertów, a sam w dziwnym stroju, i w dziwnym otoczeniu asystował tylko, i na chwilę mógł myśleć, jak ów szczur z bajki Krasickiego:

Mnie to kadzą, rzekł dumnie do swego rodzeństwa
Siedząc szczur na ołtarzu podczas nabożeństwa.

ze on tu był celebrującym! Nie po to więc zapewne przyjechał do Paryża Ks. Liszt, a po cóż? Otóż ludzie ciekawi powiadają, że to się stało dla wyratowania swojego rodaka i przyjaciela Munkaczego i jego Barnuma, Sedelmayera.

Pokazuje się, że ci dwaj ostatni kumowie przebrali wszelką miarę, i że ów otrąbiony i okrzyczany naprzód, obraz *Requiem Mozarta* zrobił *fiasco*! Głos powszechny nie przyznał mu żadnej wyższej i uderzającej zalety. Aby więc obalamucić trochę zbitą z tropu opinią publiczną, Węgry, których zdolności przemysłowych i przemysłowości nie mam potrzeby tu sprawdzać, bo te są wiadome światu — Węgry, powiadam, porozumieli się i wyprowadzili na scenę Liszta, jako prawdziwego *Deus ex machina*; a rzecz, doskonale ukartowana, poszła, jak z płatka...

Oczigodny proboszcz od Świętego Eustachego, któremu chodziło o zebranie funduszy, dla swoich szkółek, z radością przyjął myśl wykonania tak pięknej mszy, w przytomności sławnego autora. Jest to rzecz bardzo naturalna i prosta; może, gdyby ten zacny kapłan, mniej miał miłości i poświęcenia dla owej tak świętej sprawy, jaką jest *wychowanie chrześcijańskie dzieci*, zachwiałby się wobec pewnego rodzaju widowiska, któremu kościół jego otwierał swoje podwoje... Ale tu cel wzniosły i piękny usprawiedliwia wszystko i daje rozgrzeszenie za wszelkie winy...

Ze swej strony p. Calonne, muzykanci mający przyjąć udział w wykonaniu tego dzieła, a na koniec stowarzyszenie dam, tak zwanych: *Dames Patronesses* wolnych szkółek rzeźbiarskich, nie oszczędzili żadnej rzeczy, które jego są, aby nadać największy temu rozgłos i sprowadzić tylu ludzi, ilu tylko Kościół pomieścić jest zdolny, a wraz z tymi ludźmi największy dochód, dla sprawy wychowania dzieci.

Rozumie się więc, że nie zaniedbano żadnej reklamy. Dzienniki światowe nastroiły wszystkie

swe trąby i trąbki, i że nie było kąta, w którymby nie słyszano coś o tej mszy ostrzykońskiej o Liszcie, o św. Eustachym i o Węgrach, którzy tu pierwszą odegrywali rolę w kościele z Ks. Lisztem, a za kościołem z Munkaczem na czele.

Liszt przyjechał do Paryża wieczorem w Sobotę 20 Marca. Jak to się dzieje pomiędzy koronowanymi głowami, Munkaczy na czele walecznych Madiarów udał się na dworzec na jego spotkanie. Skoro tylko pociąg zatrzymał się w dworcu, oczekujący zbliżyli się do drzwiczek wagonu i pani Munkaczy wręczyła przybyłemu mistrzowi olbrzymiej wielkości bukiet róż, rzadkiej piękności. Uradowany i uszczęśliwiony, oddawszy w ręce swego sekretarza ten miły, ale trochę zaprzatający podarek, zwrócił się do Munkaczego, który mu przedstawił swój sztab węgierski, na co Liszt odpowiedział przedstawieniem swojego sekretarza, uwieńczonego różami p. Munkaczowej. Później cygańska muzyka uderzyła w cymbały i przy odgłosie Marsza Rakocznego wyruszone z dworca... Liszt, którego nie widziałem od lat trzydziestu, zmienił się, nie stety! jak każdy z nas. Ostre i suche niegdyś rysy, tej znaczącej twarzy, zaokrągliły się i zmiękły. Płowe piękne włosy, pobielały; plecy pochylały się nieco pod ciężarem ósmego krzyżyka. Jest to, jakby nowa postać człowieka, postać uspokojenia i powagi. Oko tylko a spojrzenie jest jak dawniej, ostre, błyszczące. Zdaje się mówić: nie wiercie w te zewnętrzne, poważne szaty; człowiek został ten sam w głębi swej, pełen ognia i zapалу, pełen żywej wyobraźni i pełen serca. To było zawsze jego najlepszą, najwykwintniejszą częścią!...

(Dokończenie nastąpi)

Kronika działalności kobiecej.

— Według rocznego sprawozdania z czynności *Szwalni ubogich dziewcząt*, mieszczącej się w gmachu po-Dominikańskim przy ulicy Freta, dowiadujemy się, że w ciągu ubiegłego roku uczęszczało tam 146 dziewcząt. Dni instytucyjnych było 42,560; obiadów wydano 17,032 dla dziewcząt najbiedniejszych, lub najdalej zamieszkanych. Przychodu miała szwalnia: ze składek rocznych opiekunek i opiekunów szwalni 624 rs.; z darów jednorazowych 403 rs., przytem otrzymano dary w naturze jak: masło, kaszę, cukier, kawę, i tam dalej. Razem było wpływu 1,835 rs. wydano 1,853 rs.

— *Kaliszanin* donosi, że dla względu następczenia pracy zarobkowej mieszkankom Kalisza z warstw inteligentnych zamierzają tam otworzyć fabrykę haftów złotem, oraz innych wyrobów pracy kobiecej. Kilkakrotnie już odbywająca się w tym przedmiocie: „Z—ja”, proponuje najpierw urządzenie wystawy pracy kobiecej, do której zaważaćby należało mieszkanki wsi i miasteczek okolicznych, i wtedy byłaby to już ogólna wystawa pracy kobiet z Kaliskiego, dająca obraz kierunku i wartości ekonomicznej pracy kobiecej tej części kraju. Poprzednio już (w N. 15 *Kaliszanina*); podniesiona była myśl utworzenia w Kaliszu sklepu dla zbiorowej pracy kobiet; dalej p. Ratyńska, właścicielka składu herbaty, oświadczyła gotowość mieszczenia w składzie wyrobów kobiecych, co stanowiłoby nieustającą tych wyrobów wystawę i zarazem miejsce ich zbytu — zatem początek już zrobiony.

— *Gazeta Lubelska* donosi iż pięć młodych pańien, mieszanek Lublina, wybiera się do Paryża dla słuchania tam wykładów uniwersyteckich. Wszystkie bez wyjątku zebrały sobie własną pracę fundusz, nie tylko na drogę, ale i na całoroczne utrzymanie w Paryżu. Jedną z pomiędzy nich zostawia przytem chorej matce znaczny zasiłek pieniężny. Że jest tu praca, wytrwałość, podniesienie się po nad tę próżność, która często grosz, najciężej zapracowany, na strojne gałganki marnować każe kobiecie — że jest tu dzielna ener-

1) „Po napisaniu już zwykłej korespondencji otrzymałem bolesną wiadomość o śmierci drogiego Nestora żyjących naszych poetów Bohdana Zaleskiego. Po wzruszeniach i troskach, a po krótkiej chorobie, oddał on ducha Bogu o godzinie pół do siódmej z rana dnia 31 Marca. Ciało sprowadzone zostanie do Paryża, w Piątek 2 Kwietnia, gdzie — po solennem żałobnem nabożeństwie w kościele de l'Assomption o g. 12-tej odwiedzone będzie na cmentarzu w Montmartre i złożone w grobie, gdzie już spoczywają żwółki żony i córki poety.” (Z listu naszego korespondenta P. R.)

gia i pragnienie wiedzy, więc można bez optymizmu liczyć na powodzenie i powodzenia tego z całego serca życzyć śmiałym na falach życia żeglarkom.

— W Łodzi na placach targowych pojawiły się Tanie Kuchnie pod gołym niebem, urządzone przez kobiety wyznania mojżeszowego. Dostać tam można na rozstawionych stolikach gorącej herbaty, jaj gotowanych i różnych potraw, które spożywa najuboższa ludność miasta. Para jaj ugotowanych na twardo z taką ilością soli, jakiej kto potrzebuje płaci się gr. 9. Za gr. 10 dostaje się sporą porcję zupy z grochu szablatego z zacierkami żytnimi przysmażonemi poprzednio w piecyku i następnie zagotowanemi w zupie, co wszystko przygotowuje się pod oczyma konsumentów, na placu. Ta grochówka, która jest jeszcze zapalona masłem z cebulą, cieszy się największym popytem; wiadomo jest, że groch należy do najżywniejszych pokarmów, tylko *Gazeta Łódzka* stawia jeden ważny zarzut, że tej kuchni ludowej brakuje ochędźnego porządku w naczyńach.

W liczbie dobroczynnych osób, które pośpieszyły z pomocą dla włościan z gminy Krzczonowskiej (Lubelskie) dotkniętych klęską gradobicia, na przeszło sto osób, znajdują się tylko trzy kobiety: p. Tuszyńska z Kawęczyna, która ofiarowała trzy korce zboża, służąca M. 15 kop. służąca D. 20 kop.

— Polkom, które w żeńskich szkołach Poznańskich były nauczycielkami robót ręcznych wypowiedziano miejsce i biedne ze skończeniem roku szkolnego zostają pozbawione pracy i można śmiało dodać, że zostają bez chleba. W liczbie tej jest wdowa po nauczycielu, która od lat 20-tu utrzymywała się z tej pracy, więc już u progu starości zostaje wytrącona z kolei cichej swej pracy na łaskę i nieszczęście losu. Dodać tu należy, że stosunek tych biednych kobiet do władz, które im udzielały nominacji, nie uległ żadnej zmianie prawnej.

— Kochańska przeznaczyła cały swój dochód z koncertu Krakowskiego: 1,390 zł. reńskich na cele dobroczynne. Wygnańcom pruskim dostanie się z tego 590 zł. reń. Podobnie cały dochód z trzech przedstawień teatralnych we Lwowie na ten sam cel oddaje, a trzeba dodać, że cały teatr był zawsze na tych przedstawieniach przepełniony, więc dar ów wypadnie niepospolicie. Ponieważ Kochańska nie jest kobietą bogatą i wszystko, co ma i mieć może w czasie, gdy głos jej z wiekiem się zmieni, musi być owocem jej pracy, dobroczynność, której daje dowody, cenić należy wyżej, niż na przykład takiej śpiewaczki, która jest z domu majątną, więc o przyszłość spokojną.

— Francuzka emancypantka, Hubertina Audclerc wystąpiła do rządu francuzkiego z petycją, która tymrazem ma więcej, niż zwykle słuszności za sobą, aby do komitetu sędziów wystawy, która ma się odbyć w Paryżu 1889 r., zostały powołane kobiety, gdyż w przedmiotach pracy kobiecej są one niewątpliwie kompetentniejszymi sędziami, od mężczyzn.

— W Izbie Wyższej angielskiego parlamentu lord Enfield poruszył ważną pod względem pracy i moralności kobiet kwestyą kobiet inspektorów w fabrykach. Od lat kilku opracowanie tej kwestyi zalega w angielskim ministerium spraw wewnętrznych (Home office), a jednak są takie fabryki, w których większa część sił roboczych stanowią kobiety, w innych liczba ich jest dość poważna, aby posiadały urzędnika płci swojej, któryby był ich obrońcą wobec możliwych nadżyć i stróżem, jakim nigdy nie może być mężczyzna, już dlatego, że robotnice z większą śmia-

łością i z większym zaufaniem przystępują w skargach swoich do kobiety. Przytem są w kobiecie pewne delikatne odcienie uczucia, które powinno zostać uszanowane i na które wyjątkowy chyba mężczyzna jest w stanie zwrócić należytą uwagę, gdy naruszone będą. *St. James Gazette* żywo podnosi tę kwestyą, która powinna być rozstrzygnięta w Anglii pod panowaniem kobiety. Francya ma już od dawna inspektorki kobiety i w liczbie takich, że mogą spełniać inspekcję dzienną i nocną. Urzędy te są powierzone tylko kobietom najlepszej sławy pod względem obyczajów i znanym ze szlachetnego uczucia filantropii i miłości ludu.

— Kardynał Manning w postnym liście pasterskim do katolików angielskich, poruszył smutną kwestyę rozruchów i nędzy klas robotniczych, zwracając głos do kobiety z klas zamożnych. Chrystus uważał miłosierdzie za rzecz miłą Bogu od modlitwy, gdy mówił, że nie każdy który woła: Panie! Panie! wejdzie do Królestwa Niebieskiego. Kwestyą dyspensy od postu, nakazanego przez Kościół, złączył też silnie z ofiarą na biednych i głodnych, odzywając się do bogatej: „Ty, która nie możesz obejść się na czas krótki bez najpożywniejszych pokarmów, zrozum, czym jest głód ubogiego i nakarm brata twojego, który łaknie.”

— Księżna Metternich i kilku pań z arystokracji austriackiej, postanowiło wysłać kosztem swoim do Paryża lekarza, któryby mógł studować na miejscu metodę Pasteura leczenia wścieklizny.

— Pani Furtado Heine dała 60,000 franków dla wzniesienia w Paryżu zakładu Pasteura tak leczniczego, jak badającego naukowo jego metodę i środki jej stosowania. Wszystkie zapisy i datki ofiarowane na ten cel, nie wynoszą razem tyle, co ten dar wspaniały. Nie ma też jeszcze odpowiedniego funduszu, aby myśl stała się dziełem.

— Panna Henryka Sommer, będąca członkiem paryskiej Izby Syndykalnej „Union des Placeurs” założyła w 1884 kantor stręczenia służb kobietom uczciwym i kilkaset kobiet znajduje rocznie za jej poręką służby w domach również uczciwych pań. W kantorze zostają zapisane tylko osobistości, które okażą świadectwo dobrych obyczajów, tak od dawniejszych pracodawców, jak i od merów miejsc, w których przebywały. Henryka Sommer założyła też w Paryżu szkołę sług, przekonawszy się dowodnie, że głównym źródłem niezadowolenia ze strony pracodawców i następnie zniechęcenia się kobiet do służby domowej w rodzinach, jest brak uzdolnienia ze strony służących, czego najsmutniejszym następstwem jest puszczanie się na złą drogę życia wielu młodych dziewcząt. W żeńskim oddziale szkoły uczą gotowania, prania i prasowania, usługiwania do stołu, porządnego sprzątnięcia pokoi, szycia, cerowania, robienia sukien, czesania. W oddziale męzkim uczą powożenia, usługi lokajskiej i usługi groomów, t.j. stajennych. Stowarzyszenie „Union des Placeurs” jest to stowarzyszenie wyszukiwania pracy potrzebującym jej i oddaje ono tak moralności, jak dobroczynności usługi wielkie. Przebywamy czasy ciężkie, w których człowiek ubogi musi uważać możność pracy za dobrodziejstwo losu.

Gdyby w Warszawie jaka naśladowczyni Henryki Sommer, ożywiona taką, jak ona chęcią pomagania klasom pracującym, założyła kantor dający podobne rękojmie dobrej wiary, byłoby to dziełem prawdziwej dobroczynności, bo i w naszym mieście wiele młodych sług ulega smutnemu losowi demoralizowania się z powodu, że nie raz służba przedstawia się jako dola bardzo smutna, zwłaszcza dla mało uzdolnionej i niedo-

świadczony dziewczyny. Kantor, na którego rekomendacyi polegać byłoby można, odejmowałby paniom podejrzliwość, która nieraz przy braku taktu i delikatnej dobroci serca z ich strony ciężko służy dotyka i przy żywym temperamentie sprowadza zniechęcenie, szorstkie odpowiedzi i stosunek wzajemny zaostrza, stawiały się dobrodziejstwem dla sługi uczciwej. Z drugiej strony panie dobre, wyrozumiałe na wady mało oświeconej dziewczyny, zdolne ją traktować łagodnie i widzieć w niej obok narzędzia do pracy, człowieka—istotę im bliźnią: siostrę w braterstwie ludzkości, takie panie byłyby wynagrodzone za to, bo kantor dawałby im chętnie sługi, którychby nie dostawała za jego pośrednictwem niecierpliwa złościca, lub ta leniwa i nierządna, która, wszystko na ręce sług spuszcza, łaje je potem za własną winę nieładu.

— W „La Nouvelle Revue” miesięczniku który, jak czytelnicy nasi pamiętają zapewne jest redagowany przez kobietę: p. Adam, inaczey Juliette Lambert, znajduje się wielce ciekawy artykuł „Sługi ubogiego.” Jest to historia Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, reguły S-go Augustyna, które we Francyi obsługują szpitale, oraz lazarety wojskowe w czasach wojennych i ambulanse. Znajduje się tam porównanie obsługi szpitalnej kobiet świeckich, i Sióstr Miłosierdnych, a jakkolwiek występuje tu jako zarzut religijność zakonnice jednak zostaje im przyznana taka wyższość poświęcenia, takie pojęcie obowiązku i zaparcie się osoby własnej na korzyść bliźniego i ztąd takie bohaterstwo, taka odwaga, w ogóle niemal Sióstr Miłosierdzia, taka cnota ofiarności, jaka u świeckich pilnowaczek chorego może się znaleźć tylko w wyjątkach. Smutnym cieniem tego obrazu jest wykazanie takiej nędzy między ludnością przedmieść Paryża i jego dzielnic uboższych, że książka wypada z ręki czytelnika. Są okręgi miejskie (arrondissements), w których dwunasty procent ludności żyje w nędzy. Od początku bieżącego roku biuro dobroczynności ma zapisanych 140,585 nazwisk osób, które pobierają z niego wsparcie. W 1885 roku Gmina Paryzka wydała na konieczne wsparcie ludności biednej 55,244,262 fr. 51 centymów i nie otarło to jeszcze wszystkich łez, nie przyniosło stanowczej ulgi nędzom wszystkim.

— Margrabina de Saint-Phalle, prezydentka „Miłosierdnego Stowarzyszenia kobiet światowych” (Association Charitable des Femmes du Monde), ogłosiła w pewnych organach prasy francuzkiej zadanie i cele stowarzyszenia. Stowarzyszenie zajmuje się wspieraniem rodzin, a szczególnie wdów i sierot, a także córek po żołnierzach i oficerach lądowej armii francuzkiej, oraz po majtkach i oficerach marynarki, potrzebujących tego. „Są to rodziny obrońców ojczyzny francuzkiej, więc francuzkie kobiety uważają za obowiązek przychodzić im z pomocą” oto moralna zasada stowarzyszenia. Rada, której przewodniczy prezydentka, składa się 24 pań, którym powierzone jest spełnianie dobroczynnych dzieł stowarzyszenia; istnieje oprócz tego komplet mężki, działający w kierunkach, które są trudne dla kobiety.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Szaletstwo**, przez Z. Mairret.

TREŚĆ. Józef Bohdan Zaleski, wspomnienie pośmiertne, przez M. Illicką. — Primula vera, poezya, M. I. — Boży gniew, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów. — Nowiny paryzkie. — Kronika działalności kobiecej. **Dodatek** obejmuje: Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Szaletstwo**, przez Z. Mairret. — Przegląd mód. — 30 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glucksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 2 Апрель 1886 года.